

NOWE, ZAKTUALIZOWANE WYDANIE BIOGRAFII NAJLEPSZEGO POLSKIEGO PIŁKARZA

Podczas mistrzostw świata 2018 minie 12 lat, od kiedy w Legii orzekli, że Robert Lewandowski nie ma zdrowia do wielkiego futbolu. Jak to się stało, że wygrał z przeznaczeniem? Jak największy chuderlak w dziecięcych drużynach stał się gladiatorem? Jak piłkarz z kraju, którego kluby grają w Lidze Mistrzów raz na 20 lat, został jednym z najskuteczniejszych strzelców w tych rozgrywkach?

Paweł Wilkowicz ponownie porozmawiał z Robertem i Anną Lewandowskimi, gronem ich najbliższych współpracowników i przyjaciół oraz kolegami Roberta z boiska, by uzupełnić historię o wydarzenia z jego życia i kariery z ostatnich dwóch lat. Z jakimi problemami musiał się mierzyć Robert podczas Euro 2016? Jak przygotowuje się do mistrzostw świata w Rosji? Dlaczego w tym roku zakończył 10-letnią współpracę z dotychczasowym menedżerem, kto go będzie dalej reprezentował i jak planuje swoją karierę? Jakimi rodzicami są Robert i Anna Lewandowscy? Co w ich życiu zmieniły narodziny Klary? Tego wszystkiego można się dowiedzieć z nowych wątków książki.

Nienasycony to książka o obsesji strzelania goli, o sukcesie i jego cenie. O napastniku, który nie chciał przyjąć do wiadomości, że historia taka jak jego nie może się wydarzyć w polskim futbolu.



POLECAM

Robert Lewandowski

Paweł Wilkowicz – ur. w 1979 r., dziennikarz Sport.pl. Od 2004 r. opisuje najważniejsze wydarzenia sportowe w Polsce i na świecie: igrzyska, mundiale i piłkarskie mistrzostwa Europy. Od ponad 10 lat jest przy wszystkich wydarzeniach ważnych dla polskiej reprezentacji piłkarskiej.

Relacje dla Sport.pl z igrzysk w Soczi, mundialu w Brazylii oraz poruszający wywiad z Justyną Kowalczyk przyniosły mu drugie miejsce w plebiscycie na dziennikarza roku Grand Press 2014.

Wydawnictwo
Agora

MBP Cieszanów
Nienasycony : Robert Lew...



0000015974

PAWEŁ WILKOWICZ

NIENASYCONY
ROBERT LEWANDOWSKI

PAWEŁ WILKOWICZ

NIENASYCONY

ROBERT LEWANDOWSKI

POLECA

SPORT.PL

„Zaczynałem na Varsovii”
– zachęcają plakaty
z Robertem. W jego czasach
to była inna Varsovia:
z klepiskiem zamiast boiska
i starymi barakami.



ROZDZIAŁ 2

Co to jest talent?



33

– Krążyliśmy z tatą po warszawskich klubach.
Odsyłali mnie, kazali czekać.

Tylko Varsovii nie przeszkadzało, że miałem dopiero osiem lat.

– Jakim był chłopakiem? Niech pan spojrzysz – dyrektor Varsovii Marek Krzywicki sięga po album. Otwiera na stronie ze zdjęciem z jakiegoś klubowego wyjazdu. Robert siedzi w ostatnim rzędzie autobusu. Rozbawiony. – Wiadomo, kto siada w ostatnich rzędach. Wiadomo też, że kto jest dobrym piłkarzem, tego grupa dobrze przyjmuje.

„Chuderlak z instynktem” – mówi dziś Krzywicki o tamtym Robertcie. Czasami, kiedy ogląda go w telewizorze w wielkich meczach, wciąż widzi małego Bobka: jego ruchy, jego charakterystyczny sposób przyjęcia piłki pod presją, idealne wyczucie czasu.



Krzywicki był ostatnim trenerem Roberta w Varsovii. Prowadził grupę piłkarzy o rok starszych, ale 15-letni wówczas Lewandowski potrzebował takiego wyzwania. Ćwicząc z rówieśnikami, już się nie rozwijał.

– Był u mnie najmłodszy, trafił do zespołu, gdzie hierarchia była już ustalona, więc aż tak nie dokazywał – opowiada Marek Krzywicki. – Zresztą Robert, żeby się poczuć pewnie, musi uznać, że sobie na to zasłużył. Że ma umiejętności, które uzasadniają jego oczekiwania wobec otoczenia. Dobrze się z nim pracowało. On naprawdę umiał słuchać, co do niego mówiliśmy. Mieliśmy z nim jeden problem: czasem musieliśmy go hamować. Uważaliśmy, że zbyt wiele robi poza klubem. U nas trenował, po meczu jechał do ojca do Leszna i grał „na lewo” w Partyzancie. W szkole też brali go do wszystkich sportów, bo we wszystkich był dobry.

– Kiedyś go pytam przed meczem: Co ty taki nieswój jesteś? „Nie, nie, trenerze, wszystko w porządku” – uciął. Dopiero w przerwie do mnie dotarło: Ożeż ty, rano mecz grałeś, przyznaj się! Był niesamowicie wydolny, chłopak nie do zabiegania – wspomina Krzysztof Sikorski, trener, który pracował z Lewandowskim w Varsovii najdłużej.

Tego chuderlaka z szóstym zmysłem do strzelania goli podesłał mu do drużyny Marek Siwecki. Pierwszy trener, do którego trafił Robert.

– Krążyliśmy z tatą po warszawskich klubach. Żaden nie miał tak młodego rocznika jak mój. Odsyłali mnie, kazali czekać. A Varsovia nas przyjęła, nie przeszkadzało im, że miałem tylko osiem lat. Zнали mnie z halowych turniejów międzyszkolnych. Wiedzieli, jak gram – wspomina Robert.

Drużyna Marka Siweckiego raz grała jako Varsovia, raz jako Polonia. Ale zawsze trenowała na Varsovii. Te dwa kluby współpracowały, ze stadionu Polonii do bramy wjazdowej Varsovii jest tak blisko, że mocno kopnięta piłka doleci. Nawet gdy współpraca przestała się układać, pierwszy klub Roberta nadal był kojarzony z Polonią. Kibice Legii do dzisiaj zostawiają na murach Varsovii pozdrowienia dla swoich rywali z Konwiktorskiej. Niezamalowane graffiti z „elką” ostrzega: „Będziecie jeb...”.

U Marka Siweckiego, z chłopakami o dwa lata starszymi, Robert ćwiczył półtora roku. W jego drużynie był między innymi Cezary Wilk. Też przyszły reprezentant Polski, choć tylko dwukrotny. Piłkarz m.in. Wisły Kraków i Deportivo La Coruña. Syn Sławomira, dziennikarza i naukowca specjalizującego się w kulturze fizycznej, dyrektora Instytutu Sportu i Rekreacji w Wyższej Szkole Edukacja w Sporcie. Czyli w uczelni, w której Robert studiuje. U Sławomira Wilka ma niedługo pisać pracę licencjacką, a potem może pomyśli o studiach magisterskich.



Varsovia po wygranym meczu, rok 1999. Obok bramkarza, po prawej i lewej stronie, dwóch przyjaciół z boiska: Tomasz Zawisław i Robert.

Treningi z Cezarym Wilkiem i resztą rocznika '86 musiał przerwać, bo gdy starsi koledzy urosli, ich przewaga fizyczna stała się zbyt duża. Trudno mu było w ogóle dorwać się do piłki, nie było z takich treningów żadnego pożytku. Całe szczęście w Varsovii właśnie powstała drużyna z jego rocznika.

– Weź go, jest super. W sam raz dla was – powiedział Siwecki do Sikorskiego. Robert przyszedł, poćwiczył i powiedział: to ja już tu zostanę. I został na kilka lat, w drużynie, która w trampkarskiej lidze nigdy nie zajęła miejsca niższego niż trzecie.

W żadnym innym klubie w karierze nie był tak długo jak w Varsovii. – Wszyscy chcieli grać w drużynie z jego rocznika. Miałem w trampkarzach ponad 30 piłkarzy – mówi Krzysztof Sikorski. – Ale jak Bobek się spóźniał, a graliśmy mecz, to cała drużyna była w nerwach. „Trenerze, może nie przyjedzie?”. „Przyjedzie na pewno”. A jak przyjeżdżał, to było wiadomo, że zwycięstwo mamy niemal pewne. Był liderem, choć nie pokazywał tego po sobie. Kiedy grał, wszystko w zespole lepiej się kleiło. Do tego on nienawidził przegrywać. Raz nawet mi się w przerwie popłakał, bo jakoś im nie szło. Powiedziałem: spokojnie, jeszcze macie drugą połowę. Wiedziałem, że te moje foksteriery ruszą na nich i dadzą radę. Jemu piłka zawsze pod nogi spadała – mówi Sikorski. Wspomina, że Robert był dobry technicznie, miał tylko jeden problem:



dziwnie skręcał stopę przy strzale. Do środka. A stopę miał zawsze sporą. Trener ciosał mu kołki na głowie, rysował kreski na trawie, jak ma się odbijać, gdzie spadać, gdzie pociągnąć nogą. Aż go czasem kierownik drużyny Ryszard Zawiślak prosił, żeby już Bobkowi dał spokój.

Ryszard Zawiślak, czyli ojciec Tomka, przyjaciela Roberta. Rodziny Lewandowskich i Zawiślaków trzymały się blisko, spotykały się na grillach. Zawiślakowie mieszkali z tej samej strony Warszawy, w Babiachach, 15 kilometrów od Leszna. Czasem Tomek i jego tata zajeżdżali po Roberta, żeby go zabrać na trening albo zgrupowanie. Gdy Tomek z Robertem robili pierwsze wypady, żeby poimprezować w warszawskich lokalach, wracali z tych imprez nocnym na Górczewską, a potem pieszo, nocować u Zawiślaków.

– Jeszcze wtedy nie było podmiejskich autobusów do Leszna, a busiki jeździły, jak chciały. Droga z domu Roberta na Nowe Miasto to był w tamtych czasach naprawdę wyczyn i dziś myślę sobie, że on w Lesznie miał chyba czas już tylko na spanie – opowiada Tomek.

...

Krzysztof Sikorski dziś już nie trenuje dzieci. Jest prezesem nauczycielskiej spółdzielni mieszkaniowej na Bielanych i tam do niego przyjeżdżają telewizje kręcące reportaże o Robertcie (– Właśnie skończyłem z Katarczykami – mówi, gdy umawiamy się na rozmowę). W Varsovii jest społecznym prezesem Uczniowskiego Klubu Sportowego. Na co dzień w Międzyszkolnym Ośrodku Sportowym nr 3 rządzi dyrektor Krzywicki. Siedzimy w jego gabinecie, zaskakująco przytulnym jak na kontenerowiec przy boisku. W Varsovii wszystko jest kontenerowcem: przy piętrowym niebieskim kontenerowcu z biurem dyrektora stoi piętrowy zielony kontenerowiec z innymi pomieszczeniami, a na końcu najniższy biały kontenerowiec z szatniami. To na nim wisi plakat z Robertem i przypomnieniem: „Zaczynałem na Varsovii”. Zaczynałem w małym klubiku, wciśniętym w park na terenie fortyfikacji z czasów carskich.

Sztuczne boisko Varsovii znajduje się przy samej baszcie artyleryjskiej Fortu Traugutta. Gdy Robert przyszedł tu trenować, fort był jeszcze obiektem tajnym, w środku było archiwum wojskowe, przy bramie trzymali wartę żołnierze. Polska właśnie wchodziła do NATO. Gdy już weszła, okazało się, że natowskie przepisy nie pozwalają na

trzymanie dokumentów wojskowych w takim miejscu, i długo nie było pomysłu, co z fortem zrobić. Kupił go współwłaściciel firmy CD Projekt, producenta gry „Wiedźmin”. Teraz to on, a nie wojsko, jest sąsiadem boiska. Od fortu odchodzą podziemne tunele i nikt tak naprawdę nie wie, po czym młodzi piłkarze Varsovii biegają. Kiedyś zapadł się kawałek boiska i pokazała się wielka dziura. Nieopodal zapadł się kawał ulicy. Taki urok trenowania w zabytku w środku miasta. W pięknym miejscu, ważnym dla polskiej piłki.

Odrodzona Polonia w czasach dorastania Roberta została mistrzem Polski i grała w europejskich pucharach. Na Konwiktorską przyjeżdżał nieznany jeszcze wtedy szerszej José Mourinho, by podglądać zespół, na który jego Porto trafiło w Pucharze UEFA. W hotelu Ibis obok stadionu niejednego ligowego zespół spędził noc przed meczem w Warszawie. W biurowcu obok mieściła się wtedy redakcja „Piłki Nożnej”. To do hotelu Ibis Cezary Kucharski na początku współpracy z Robertem zaprosił jego rodzinę, by bliżej wszystkich poznać, i tam przekonywał jego mamę, siostrę i narzeczoną, że wyrośnie z Lewandowskiego wielki piłkarz.

...

Krzysztof Lewandowski z piłkarską reprezentacją podstawówki w Lesznie i jej najlepszym strzelcem Robertem. Rok 1998, zdjęcie zwycięzców turnieju powiatowego w Lesznie.



Na korty pod balonami obok boiska Varsovii wpada czasem pograć Wojciech Fibak, ma tu niedaleko ze swojej galerii na Krakowskim Przedmieściu. Swoje dzieci na treningi do Varsovii posyłają aktorzy, muzycy. Klub ma sponsorów. Plakat „Zaczynałem na Varsovii” i zdjęcie Lewandowskiego robią swoje. Miłe miejsce, żeby stąd wyruszyć w świat. Tyle że to nie było ono takie, gdy Robert uczył się piłki.

W jego czasach tam, gdzie jest elegancka sztuczna murawa, było piaszczysto-wyboiste boisko. A tam, gdzie kontenerowce, stały stare, obskurne baraki. Zostały po pracownikach, którzy mieli tu budować jakąś halę, ale nigdy nie wybudowali.

Mecz na tamtym starym boisku oznaczał burzę piaskową nad Varsovią. Dziś kurzyć się może najwyżej z dużego parkingu przy kontenerowcach.

– Jeśli na jakimś zdjęciu z meczu Roberta boisko się zieleni, to znaczy, że jest tuż po wakacjach, po przerwie w graniu – mówi Marek Krzywicki.

– Albo że jest maj, wtedy też się trawa zieleniła po rogach i mieliśmy namiastkę boiska. Pryszyć niby był, ale ze 100 metrów od szatni. Więc nie zawsze się chciało i dało umyć. W zimne miesiące kończyło się na szybkim przemyciu przy rynnach z wodą. Stały niedaleko boiska, można było tam sobie piach z ust wypłukać – wspomina Tomasz Zawiślak.

Na większości zdjęć z czasów Varsovii Robert (na pierwszym planie, najbliżej piłki) jest najmniejszy w drużynie. Na wszystkich – najdrobniejszy.



Robert pamięta, że czasem szli do parku obok, bo tam przynajmniej można było potrenować na trawie. I że rodzice rozkładali folię w samochodzie, żeby nie nabłocił, gdy go wieźli z treningu.

– W dzisiejszych czasach ojcowie i matki, widząc coś takiego, zabraliby dziecko z klubu – mówi Sikorski. – Już by do nas nikt nie przyszedł, gdybyśmy nie poprawili bazy – dodaje Marek Krzywicki. Nie trenowałyby tu dzieci celebrytów, a plakat „Spełniamy marzenia” wyglądałby jak żart. Ale wtedy się mierzyło inną miarą. Legia grała w Lidze Mistrzów, mając barak za szatnię. A jej młode drużyny kopały na piachu w Forcie Bema, na terenie kolejnej carskiej fortyfikacji, tam gdzie Robert uczył się na studiach u Sławomira Wilka (dziś siedziba uczelni jest już gdzie indziej). Treningi na piachu, obskurna szatnia, po której czasem przebiegł szczur – tak to dziś wspominają trenerzy, którzy wtedy w Legii pracowali z młodzieżą. Akademia Legii powstała dopiero w 1999 roku i tylko dzięki temu, że Piotra Strelaua (syna Andrzeja, byłego trenera reprezentacji) nosiło w biurowej pracy. Chciał poczuć się trenerem, a piłkarz Maciej Murawski pisał pracę magisterską o Ajaxie Amsterdam, który słynął ze szkolenia młodzieży. Obaj się uparli, namówili kilku innych piłkarzy Legii, by pomogli przy naborze i ćwiczeniach, a od prezesa wydębili 1200 złotych na start. Nie wystarczyłoby nawet na bramki, ale na szczęście bramki dla młodzieży zostały po jakimś firmowym turnieju. Brzmi to jak opowieść z międzywojnia albo o pionierach sportu pod zaborami. Ale działo się u progu XXI wieku. Nie tylko w Warszawie, bo właściciel Wisły Kraków, symbolu sportowego sukcesu ostatniego 20-lecia, też długo nie dawał się przekonać, że warto otwierać akademię dla młodzieży.

...

Młodzi z Legii grali na piasku albo klepisku. Polonia swoich piłkarzy wychowywała na placu, który do dziś jest zwany „Saharą”, choć jest tu też już nowoczesne boisko. W Varsovii wszyscy czekali na mecze na Agrykoli, bo tam był piękny dywan. Poza tym Agrykola, też klub młodzieżowy, była głównym rywalem Varsovii. – Ze wszystkimi możecie przegrać, tylko nie z nimi – zaklinali trenerzy.

– Zazdroszczę dzieciakom, które teraz uczą się grać w piłkę – mówi Tomasz Zawiślak.



Marek Krzywicki w rozmowę co chwila wplata, jak jest w Athleticu Bilbao, w Lezampie, jednej z najsłynniejszych akademii piłkarskich Europy. Wrócił właśnie z tygodniowego stażu w Bilbao. Kolega był tam wcześniej na Erasmusie, wydeptał ścieżki. Mieli w Lezampie dostęp do wszystkiego, co związane ze szkoleniem, słuchali odpraw w akademii, oglądali treningi pierwszego zespołu, rozmawiali z psycholożką, która pracuje z piłkarzami Athleticu od ćwierć wieku.

– A my, gdy był u nas Robert, mieliśmy tutaj tylko trzy drużyny i trzech czy czterech trenerów. Dopiero zaczynaliśmy się uczyć, jak to robią na świecie, podglądać – mówi Marek Krzywicki. Nie mieli jeszcze wtedy systemu szkolenia. Było po prostu szkolenie. Bez dzielenia na etapy, bez koordynatorów, bez specjalizacji, bez zmiany trenera co trzy lata. Grupa chłopaków dorastała z trenerem.

– Ja się nie wziąłem z żadnego systemu, tylko wbrew wszystkiemu – mówi Robert.

– Wiem, że Robert może mieć dziś żal o to, ilu rzeczy go Polska nie nauczyła – mówi Marek Krzywicki. – Widzi, jak się z dziećmi pracuje w Dortmundzie czy w Monachium. Ale wtedy były naprawdę inne czasy. Robiliśmy, co się dało, wałowiliśmy to nasze boisko, żeby było w miarę równo. A z drugiej strony tak się hartował charakter Roberta. Kto wie, gdzie by doszedł, gdyby miał wszystko podane na tacy? Gdyby nie musiał dojeżdżać, gdyby tu były luksusy.

Krzywicki mówi, że dziś polskie akademie metodami już niewiele odbiegają od zachodnich. Kuleją z infrastrukturą, z dbałością o detale, ale metody są podobne. A kiedy ćwiczył tu Robert, Polskę od świata dzieliła przepaść. W lidze grało się jeszcze trójką obrońców, ze stoperem. – To było nasze święte 3-5-2, od ekstraklasy aż po mecze dzieciaków. Dopiero Wisła Kraków u Henryka Kasperczaka na dobre zaczęła grać czterema obrońcami. To już była nowoczesność. Gdy zacząłem uczyć tego ustawienia nasze dzieciaki, one miały już po 14 lat. Zresztą ja też dopiero wtedy się tego nauczyłem. Przecież mnie całe życie wychowywali do systemu 3-5-2 – wspomina Marek Krzywicki.

Przy oknie jego gabinetu, z widokiem na boisko i Fort Traugutta, wiszą zdjęcia z dedykacjami i proporczyki. Jest pamiątka z Bilbao. Obok ze zdjęcia pozdrawia Wojciech Kowalewski, czyli szkolny kolega trenera Krzywickiego z Suwałk i bramkarz kadry, gdy debiutował w niej Robert. Varsowię pozdrawia też Francesco Totti, to pamiątka ze stażu w Romie. Varsovia Roberta z Romą zagrała jeden ze swoich ważniejszych meczów.

– Bolesne 1:6 – wspomina Tomek Zawiślak. W turnieju we Włoszech grały Roma, Sunderland, Sparta Praga i Varsovia. Jedyne goła dla niej podczas lania od Romy zdobył Lewandowski z podania prawoskrzydłowego Zawiślaka. – Włosi byli z innego świata, jeśli chodzi o podejście do piłki, zrozumienie, w co gramy. Wiedzą o piłce bili nas na głowę – wspomina Zawiślak. – My byliśmy grupką piłkarzy, a oni całością. Tam na nabór od lat zgłaszają się tysiące chłopców. A my byliśmy zbieraniną, która akurat trafiła w to miejsce.

Ale jego zdaniem Varsovia i tak w tamtym czasie była ewenementem. Jedynym klubem z okolicy, który wprowadzał jakieś załączki skautingu. Ryszard Zawiślak jeździł po Warszawie i przyległościach, sprowadzał co zdolniejszych chłopaków.

– Raz udało mu się zorganizować zgrupowanie w Chorwacji i sparing z Hajdukiem. Mieliśmy wtedy chyba lepiej zorganizowane przygotowania niż niektóre kluby ekstraklasy – wspomina Zawiślak. W Romie, jeśli dobrze pamięta, grał Stefano Okaka Chuka, późniejszy reprezentant Włoch. Ale najbardziej zapamiętał chłopaka o imieniu Loris.

– To był największy talent, jaki widziałem – opowiada Zawiślak. Ale nie wyrósł z niego nawet przeciętny piłkarz. Nigdy później ani Tomek, ani Robert Loris w żadnej drużynie nie widzieli.

...

Trener Sikorski uważa, że to Robert był największym talentem, jaki przewinął się przez Varsowię.

– No, nie jestem przekonany – Tomek Zawiślak kręci głową. – Na pewno miał łatwość strzelania goli. Ale inni też byli bardzo dobrzy. On za to jako jedyny z nas miał talent do naprawdę ciężkiej pracy. Czasem ktoś na obozach symulował, bo mu się nie chciało wstać i biegać. Bo miał odcisk, bo go bolał brzuch. A Robertowi musiałby się świat zawalić, żeby nie wyszedł na trening. Od zawsze to miał i nikogo innego tak zawziętego nie widziałem.

Marek Krzywicki przypomina sobie, że w jego drużynie, z rocznika wyżej, Robert grał z Arturem Kowalczykiem. Bratem Wojtka, cudownego dziecka Legii, srebrnego medalisty igrzysk w Barcelonie. Wszyscy wtedy przyglądali się przede wszystkim Arturowi, a nie Robertowi.





– Arturem bardziej się wtedy interesowała Legia. No bo Kowalczyk, bo miał technikę, był szybki, miał świetną lewą nogę. Miał też trochę podwórkowych nawyków, bo późno zaczął trenować. Za dużo się kiwał, grał pod siebie. Ale miał talent. Ustawiało się więc drużynę pod Artura, żeby sobie schodził z boku jak Messi i uderzał w długi róg. Artura ustawić pod drużynę byłoby trudniej – wspomina Krzywicki.

– Było jeszcze kilku chłopaków z naprawdę wielkim talentem. Na przykład Adam Wieczorek, który bardzo dobrze grał i lewą, i prawą nogą, a dla mnie był wtedy wielkim chłopem, choć dziś jest niższy o głowę – wspomina Robert.

Ani Artur Kowalczyk, ani Adam Wieczorek, na którego mówili Tolo, karier jednak nie zrobili.

– Co się z nimi stało? Nic szczególnego. Artura Wojtek nie popchnął w dobrym kierunku, wołał, żeby grał z nim w lidze szóstek – mówi Marek Krzywicki. Artur Kowalczyk próbował potem sił m.in. w Hutniku Warszawa, Zniczu Pruszków, Starcie Otwock.

– A Tolo Wieczorek odszedł do Agrykoli. Potem go spotkałem na jakimś turnieju, pytał mnie: trenerze, nie kupi pan ode mnie telefonu? Już mu się trenować nie chciało. Jeszcze poszedł na kurs sędziowski, ale też nic z tego nie wynikało – opowiada Krzysztof Sikorski.

– Życie chłopaków wciągnęło. Ale wszyscy się pogubiliśmy – mówi Tomek Zawiślak, który jeszcze z Polonią zdobył wicemistrzostwo Polski juniorów, ale wśród seniorów nie zaistniał.

Świat podbił Robert, choć przez lata zawsze miał obok siebie w ataku kogoś, kto był uznawany za lepszego napastnika od niego.

Pod koniec gry w Varsovii kimś takim był Artur Kowalczyk, w Legii było nawet kilku takich piłkarzy, na czele z Dawidem Janczykiem, którego szybko za wielkie pieniądze kupiło CSKA Moskwa. Ale dla Janczyka transfer do CSKA to był szczyt osiągnięć, a nie początek, przerosło go dostatnie życie. Janczyk w 2007 roku zagrał świetne mecze z Argentyną i Brazylią na mistrzostwach świata do lat 20, a Lewandowski w ogóle na te mistrzostwa nie pojechał. Ale to Lewandowski już rok później zadebiutuje w seniorskiej reprezentacji. Janczyk zrobi to cztery miesiące później i nigdy nie stanie się ważnym piłkarzem kadry.

– Dawidowi wszystko pasowało. Dał się ponieść nurtowi. Życie się do niego uśmiechnęło. Ale nie potrafił tego uśmiechu odwzajemnić. Okazało się, że to jednak Robert miał większy talent. Wtedy bym w to nie uwierzył – mówi Jacek Bednarz, dyrektor sportowy Legii w czasie, gdy przechodzili do niej i Lewandowski, i Janczyk.

W Zniczu Pruszków rywalem Roberta był Bartosz Wiśniewski, uważany za bardziej wszechstronnego. Ale po Zniczu źle wybrał klub, poszedł za trenerem Leszkiem Ojrzyńskim do Wisły z rodzinnego Płocka i kariera utknęła.

– Roberta też wtedy chciałem wziąć ze sobą, ale się nie udało. Może dobrze, że tak wyszło, nie wiadomo, co by było – mówi dziś Ojrzyński.

Powołania do reprezentacji Mazowsza i młodszych reprezentacji Polski dostawał cały tłum piłkarzy dziś zapomnianych. A młody Robert, od kiedy skończył 14 lat, na kilka sezonów wypadł z grona powoływanych. Był trochę jak Grzegorz Lato, wieloletni rekordzista, jeśli chodzi o liczbę meczów rozegranych w reprezentacji Polski, który nigdy nie zagrał w reprezentacji juniorów. Albo jak Miroslav Klose, rekordzista w liczbie goli strzelonych w mundialach, który jeszcze mając 21 lat, był amatorem z piątej ligi.

Lato trafił dopiero do młodzieżówki, bo wcześniej uważano, że potrafi tylko szybko biegać. Zadebiutował w reprezentacji seniorów, gdy miał 21 lat. Klose dopiero wtedy, gdy miał 23. Robert jako 20-latek. Wcześniej jeździł na konsultacje reprezentacji do lat 18, ale zagrał dopiero w U-19. Raz.

Kamil Glik pamięta go ze zgrupowań młodzieżówki, w której Robert wystąpił trzy razy. Byli razem na konsultacjach kadry do lat 19.

– „Lewy” się wtedy nie wyróżniał ani na tak, ani na nie – mówi.

Jürgen Klopp jeszcze w czasach Borussii Dortmund musiał mówić polskiemu dziennikarzom: – Wy naprawdę sami nie wiecie, jak dobry on może być.

– Widzę wielu piłkarzy z talentem. Ale trzeba jeszcze umieć wytrwać w jego wykorzystywaniu. Gdy rozmawiam z byłymi trenerami Roberta, żaden nie mówi: a ja wiedziałem, że on zrobi taką karierę – tłumaczy Cezary Kucharski.

– Trenerzy podkreślają na konferencjach, że coraz bardziej się zaciera udział talentu. Leo Messi ma wielki talent, ale też musiał do wszystkiego dojść ciężką pracą – mówi Andrzej Juskowiak, trener napastników Lecha Poznań, z czasu gdy grał tam Robert.

Roger Federer, tenisowy talent w stanie czystym, powiedział niedawno, że już nie może słuchać tych mądrości o talencie. Jego zdaniem talent uwstecznia. „Nie wierzę w talent. Wielu ludzi go ma. Ale tylko niektórzy z nich ciężko pracują” – uważa Federer.

Zdaniem Jacka Bednarza talent to niezbędny punkt wyjścia. Dzięki talentowi dostajesz zachętę na starcie, lepsze warunki, dobre



komentarze. Ale potem już od ciebie zależy, czy talent czymś podbudujesz, czy nie.

– Co to jest talent? – zastanawia się Bednarz. – Wszyscy na świecie wiedzą, jak gra Robert, jak Messi, a jednak oni zawsze potrafią zaskoczyć. To jest ten moment, gdy ujawnia się talent. Cała reszta to harówka, by doczekać tego jednego momentu. I współpraca z drużyną, by ten moment mógł w ogóle nastąpić.

– Najpierw zawsze widzisz talent. To coś. Zauważasz: o, ten jest uszyty z dobrego sukna. Ale potem musisz poćwiczyć wyobraźnię: co z niego może wyrosnąć. Czy on z czasem będzie coraz lepszy, coraz bardziej zawzięty, czy może mu wystarczy pierwszy sukces – uważa Leo Beenhakker, u którego Robert debiutował w reprezentacji. – I to jest najtrudniejsza część twojego zadania: przewidzieć, co zostanie z talentu za kilka lat. Łowisz momenty błysku, jakieś zagrania zdradzające przyszłe możliwości. Wiesz, że młodzi nie mogą tak dobrze grać przez godzinę czy dłużej. Ale jeśli choć od czasu do czasu wskoczą na taki poziom, to już jest dla ciebie znak. I Robert takie znaki dawał w 2008, gdy już był w Lechu, a ja wysyłałem powołanie – mówi Beenhakker. To on kiedyś w Malmö wypatrzył dla Ajaxu Amsterdam 20-latkę, który dawał takie znaki jak Robert i tak jak Robert wymagał jeszcze kilku lat pracy nad talentem. Nazywał się Zlatan Ibrahimović.

– Gwarancji, co wyrośnie z takiego Zlatana i Roberta, nie masz nigdy. Zwłaszcza jeśli polegasz tylko na talencie. Słuchasz dwóch dobrych młodych pianistów i nigdy nie wiesz, który za 20 lat będzie gwiazdą sal koncertowych, a który będzie grał dla przyjaciół i rodziny. Wyłapać musisz ich obu, to twoja rola. Ale gdzie jest granica ich możliwości, zdecydują oni sami. Robert miał tę sprężynę, która napędza największych. I zawsze był poważnym gościem. Wiedział, jak się prowadzić. Talent, ciało, charakter, głowa. Wszystko top – uważa Beenhakker.

Dziś to dla wszystkich jasne. Ale gdy Beenhakker obejmował w 2006 roku reprezentację Polski, ciało, charakter i głowa Roberta przechodziły właśnie próbę ognia.

...

17-letni Messi czarował trikami w reklamie Nike i mówił: „Zapamiętaj moje imię. Jestem Leo Messi”.



– Robert był dobry technicznie, tylko dziwnie skręcał stopę przy strzale. Do środka. Ciosałem mu kółki na głowie, rysowałem kreski na trawie, jak ma to poprawić – wspomina trener Krzysztof Sikorski.

17-letni Neymar robił wielkie bum w Santosie, stając się z miejsca piłkarzem niezbędnym w drużynie i podpisując pierwszy kontrakt reklamowy.

17-letni Cristiano Ronaldo miał już za sobą olśnienie w akademii Sportingu Lizbona, fabryce świetnych piłkarzy: „Mam w sobie to coś, muszę tylko ciężko pracować i będę wielki”. Rok później był w Manchesterze United.

17-letni Luis Suárez miał już za sobą uderzenie sędziego i wszystkie możliwe grzechy dziecka ulicy, jeszcze nie grał z seniorami, ale miał już plan: stać się tak dobrym, żeby wyjechać do Europy, gdzie musiała się przenieść jego ukochana Sofia.

17-letni Robert Lewandowski był w zawieszeniu. Zbliżał się do najostrzejszego zakrętu kariery. Odkreślił dzieciństwo, odchodząc z Varsovi niedługo po skończeniu 16 lat, ale nie znalazł żadnego pewnego



Robert z ojcem podczas Wigilii w Lesznie, rok 1996.

gruntu pod nogami. Przemknął przez czwartoligową Deltę Warszawa, pierwszy klub, który mu płacił za grę, pierwszy, w którym strzelał gole w rozgrywkach seniorów. I po kilku miesiącach, latem 2005 roku, znalazł się w rezerwach Legii, z którą Delta współpracowała. Skusiła go otoczka dużego klubu, poszedł, choć coś mu mówiło, żeby nie szedł.

Właśnie wkraczał w dorosłość, trwały najtrudniejsze miesiące jego dorastania. Półtora roku zbierania ciosów od życia i sportu. I jeszcze wróci do Varsovii, ale już tylko na chwilę, do dyrektorskiego gabinetu z widokiem na boisko i fort. Po pomoc, gdy się zawiedzie na Legii.

– Robert nie za bardzo chciał odchodzić z Varsovii, ale ja zawsze uważałem, że dobry piłkarz powinien się sprawdzić ze starszymi. Żeby mieć wyzwanie. Wysłaliśmy do Delty jego i jeszcze dwóch zawodników. Delta była czwartoligowa, ale poukładana. I płaciła jako jeden

z niewielu klubów w tej klasie rozgrywkowej – mówi Marek Krzywicki o tej chwili, gdy uznali, że Varsovia stała się za mała dla Roberta. Starszych roczników już tam nie było. Polonia Lewandowskiego nie chciała. A w Delcie się bardzo spodobał. I tak dobiegł końca jego czas przy Forcie Traugutta.

Kończył się rok 2004. Polska już weszła do Unii Europejskiej i wyjazd na Zachód stawał się dla polskiego piłkarza tak łatwy jak nigdy wcześniej. Borussia Dortmund była na krawędzi bankructwa. Niemcy już drugi raz z rzędu wyróżnili w mistrzostwach Europy o dno, odpadając z Euro 2004 po rundzie grupowej, i nabrali pewności: albo dokonamy rewolucję w szkoleniu młodzieży, albo przepadniemy.

Robert zaczął szybko rosnąć.

Krzysztof Lewandowski przegrywał już walkę z chorobą.